



Giorgio

Chiellini

Piłkarz, który nie chodzi na skróty





Giorgio Chiellini

Maurizio Crosetti

Piłkarz, który nie chodzi na skróty
A u t o b i o g r a f i a

tłumaczenie **Marta Magdalena Borkowska**

Tytuł oryginału: *Io, Giorgio*

© 2020 Mondadori Libri S.p.A.

Published by Mondadori Libri for the imprint Sperling & Kupfer

Copyright © for the translation by Marta Magdalena Borkowska

Wydawca prowadzący: Wojciech Karkoszka

Redaktor prowadzący: Anna Malocha

Przyjęcie tłumaczenia: Weronika Werewka

Weryfikacja merytoryczna: Marcin Nowomiejski

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja, korekta i łamanie: Studio NOTA BENE

Projekt okładki: Eliza Luty

Fotografia na okładce: © Giorgio Perottino / Getty Images

ISBN 978-83-8135-081-5



Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

*Ninie i Olivii za radość i energię,
którymi mnie obdarowujecie codziennie.
Obyście były zawsze dumne ze swojego tatula.*

Suchy odgłos, jaki wydaje pękające drewno. Krzyknąłem, ale nie z bólu, ze strachu. Strach boli bardziej.

Każdy problem już zawiera w sobie rozwiązanie. Uwielbiam matematykę, przywraca porządek w chaosie, a w tamto popołudnie chodziło o uporządkowanie mojej sportowej historii. O to, bym nauczył się patrzeć na siebie z zewnątrz, nauczył się cierpliwości. O kimś innym powiedziałbym: „Zerwane więzadło krzyżowe w wieku trzydziestu pięciu lat, jasne, arrivederci!”. Do siebie powiedziałem: „Uśmiechnij się!”.

Za pomocą siedmiu godzin fizjoterapii dziennie i odrobiny wewnętrznej matematyki można ujarzmić chaos. Zebrać z podłogi kawałki życia, ubrać Ninę i zawieźć ją do szkoły, wieczorem przygotować jej kąpiel. „Szczęściarz z ciebie, tatusiu, teraz możesz spędzać ze mną więcej czasu”. Masz szczęście, księżniczko, jak tylko tatusiowi się polepszy, pojedziemy na dwa dni do Disneylandu.

Drewno łamie się z głośnym trach, które słyhać nawet z odległości dwudziestu metrów. Moja gałąź pękła 30 sierpnia 2019 roku o godzinie 18.00. W tamtym okresie czułem się dobrze, za dobrze. Chłopcy, mam przecucie, że się coś stanie! Nie miałem hamulców, byłem jak dziecko. Dopiero co z Juventusem w nowym składzie wygraliśmy pierwszą kolejkę mistrzostw Włoch w Parmie, a gola strzeliłem ja, Giorgione, King Kong.

Wykonywałem ten ruch tysiące razy – wykrok boczny do dalekiej piłki. Zamysł mam taki, że lekko zaatakuję przeciwnika i przejmę piłkę. I nagle trach. Krzyczę, od razu wiem. Ale nie myślę: „dlaczego ja?”. Nie, to nieprawidłowe myślenie, a nawet głupie. I nigdy nie zaczynam dnia bez uśmiechu, to imperatyw kategoryczny.

Nauczyłem się tego w liceum i wierzę w „prawo moralne we mnie”. Jak również w „niebo gwiaździste nade mną”, o tak! Piękne niebo w Livorno w letnie wieczory, gdy zapach soli spada na ciebie niczym burza. Spacer z dziewczyną, skuter, brat. Droga do domu.

Giorgione, Kielon, King Kong, Siłacz. Tata Niny i Olivii. Ukochany Caroliny. Giorgio, który starał się być do brym synem i zawsze grał w piłkę z całkowitym oddaniem. Nie pocałował mnie bóg futbolu, byłem nieokrzesany, niezdarne, a teraz patrzcie – jestem kapitanem Juventusu i drużyny narodowej!

Lubię się uczyć, skończyłem studia. Lubię ludzi, ale muszę czasem pobyć sam.

Lubię słuchać swojego ciała, w ciszy dowiedzieć się, co ma mi do powiedzenia. Robię to pod prysznicem. Tym długim, który biorę przed meczem, gdy milimetr po milimetrze

moje ciało opanowuje koncentracja, moje tkanki, moje kości, moją skórę, mój umysł – i oto Giorgione jest już na boisku.

Po wszystkich nie mogłem ruszyć nogą – niewiarygodne. Staralem się z całych sił, a jednak nie drgnęła ani o milimetr. Leżąc, próbowałem ją podciągnąć. Wszystko na nic, była jak z kamienia. Giorgione-statua. Więc rozpocząłem swoje minipodboje – codziennie nowe, małe zwycięstwo.

Lubię słuchać swojego ciała, które podczas awarii opowiada mi o części wymagającej naprawy. W takich chwilach myślisz o wielu rzeczach, na przykład o ludziach, którzy są już nie do naprawienia. O tych, którzy mieli większego pecha, niepełnosprawnych, którzy nie posiadają części zamiennych. Ale nawet oni mają swoje przeznaczenie, swoje szanse, swój głos. Ci ludzie przekazują nam wielkie rzeczy, jak na przykład moi przyjaciele z drużyny Insuperabili (Niezrównanych).*

Jeden centymetr, dwa centymetry, pięć centymetrów. I wreszcie przyszłość rusza z miejsca razem z nogą polataną szwami i plastrami, igłą, nicią oraz cierpliwością. Moja nowa noga, integralna część mojego ciała.

Kochani, odzyskiwanie sprawności to powolny proces. Dzień po dniu dziecko rośnie. Dziesięć stopni zgięcia, dwadzieścia, pięćdziesiąt! Od dziś kule w kąt. Sam zawiążę buty, samodzielnie się umyję. Zjem posiłek z Caroliną i dziewczynkami przy stole, bez pośpiechu, a potem nie

* Niezrównani, z wł. Insuperabili, to nazwa akademii sportowej dla niepełnosprawnych, której patronem jest Giorgio Chiellini (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

rozwalę się od razu na kanapie. Przygotuję maszynę do lodu, będę się gimnastykował do wieczora, a potem poczekam na kolejny poranek, na te pięć godzin z rzędu w siłowni, na ławeczce, na ciężary z każdym dniem nieco lżejsze.

Więzadła, więzy, wiązać się. Części naszych ciał związane sznurkiem, my związani z innymi, z ludźmi, których naprawdę kochamy. „Rodzina” to piękne słowo. Moi rodzice się rozeszli, gdy ja i mój brat bliźniak Claudio mieliśmy siedem lat, ale nie przestaliśmy być rodziną. Otrzymaliśmy dar w postaci dwójki rodzeństwa, Giulia i Silvii. A teraz mam też rodzinę, którą sam założyłem: Caroline, Ninę, Oliwię. Moje dwie córeczki, mój poranek.

To moje złote życie, ta podróż na Marsa, którą była moja piłkarska droga. Wiem, że prawdziwe życie wygląda inaczej i starałem się o tym nie zapomnieć. Pieniądże, przywileje, ale także poświęcenie, zmęczenie. Osamotnienie, niekiedy potrzeba bycia samemu. Nauka, ciągła, bezustanna. I samotność.

A potem i ta noc minęła, jak mija wszystko inne. Gałąź z powrotem przyrosła do pnia, do dębu imieniem Giorgio. Miło jest nie znać do końca samego siebie. Głęboko w nas zawsze jest tajemna przestrzeń do odkrycia, która opowiada nam różne rzeczy. Dzięki kontuzji zwiedziłem nieznane rejony we mnie. Tym razem nie chodziło o moje zwyczajowe kłopoty z łydkami czy czterokrotnie rozbity nos – jeśli przesuniecie po nim palcem, poczujecie zgrubienie. Ten nochal to też ja.

Lubię ścisnąć dłonie przyjaciół, obejmować ich. Nigdy nie wstydzilem się swojego ciała czy tego, że całuję tych,

którzy są mi drodzy. Na boisku wszystko jest jednak inaczej. Tam muszę czuć ciało przeciwnika, który depcze mi po piętach, wiedzieć, że on czuje mój oddech na karku. Jeśli muszę, gram jak drań. Uwielbiam napastników, którzy nie uciekają i patrzą mi prosto w oczy, tak jak ja patrzę na nich. „To wspaniała przygoda – powtarzam sobie – i jeszcze się nie skończyła”.



Cudowny ból

Czułem się wspaniale. To był idealny tydzień. Żartowałem sobie z lekarzem:

– Doktorze, czuję się bosko. Teraz lepiej uważać, bo to nie potrwa długo.

Naprawdę, wiem z doświadczenia, że tak to wygląda. Kiedy ciało chodzi idealnie, to zazwyczaj przekracza granice i idzie tam, gdzie nie powinno. Traci hamulce.

Gdy to mówiłem, miałem na myśli zwykle naciągnięcie mięśnia, czyli moje standardowe problemy z łydkami. Wszystkiego bym się spodziewał, ale nie aż tak poważnej kontuzji. Piłka zmienia kierunek, zamykam podanie na linii bocznej, grunt osuwa mi się spod nóg. I ten odgłos, który pewnie słyszeli wszyscy dookoła. Od razu wiedziałem, że coś pękło.

Odczuwałem dyskomfort po zewnętrznej stronie kolana. Miałem nadzieję, że to łakotka. Urazu doznałem o godzinie 18, a o 19 z kolanem obłożonym lodem

pojechałem na rezonans. Z uśmiechem spytałem lekarza:

– Obejdzie się bez operacji?

W odpowiedzi pokazał odwrócony kciuk. A niech to...

– Więzadła krzyżowe? To niemożliwe!

Niestety, to były one.

Najtrudniej było powiedzieć o tym moim bliskim: najpierw bratu, potem tacie, mamie, a na końcu Carolinie – pod względem trudności kolejność była właśnie taka. Tata jest lekarzem, więc nie było problemu. Brat sam się domyślił. Mama natomiast dowiedziała się ot tak, cześć, co tam, co porabiasz, słuchaj, zrobiłem sobie kuku. A ona:

– Łydka? Zginacz?

– Nie, mamo. Kolano. Załatwione.

Tadam!

I wreszcie moja żona. Tamtego dnia mała Olivia miała szczepienie i dostała lekkiej gorączki, ja natomiast po lunchu zapadłem się pod ziemię, nie zostawiłem nawet wiadomości. Dzwonię więc do Caroliny o godzinie 20, a ona pyta:

– Żyjesz? – Była trochę wkurzona. – Słuchaj, Olivia nie czuje się za dobrze.

Potem opowiadam jej o urazie i ona też pyta:

– Łydka?

– Nie, zerwałem więzadła. W kolanie.

Wpada w płacz, tuż obok niej jest Nina. Pół godziny później dzwonię do córeczki i mówię:

– Kochanie, nie martw się, tatę boli kolano, ale wiesz, co jest najlepsze? Będę spędzać z tobą dużo więcej czasu,

a jak będziesz grzeczna, to jeszcze w tym roku pojedziemy do Disneylandu.

Potem w domu, kiedy Nina widziała mnie z kolanem obłożonym lodem, mówiła:

– Tatusiu, chcesz coś? Wiesz, że masz szczęście, bo spędzasz ze mną tak dużo czasu?

Kiedy jeszcze leżałem na murawie, trener Sarri przekonywał mnie:

– Dalej, Giorgio, wstawaj, to nic takiego, idź dokończyć mecz.

A później:

– Giorgio, ta kontuzja wydłuży ci karierę, będziesz musiał grać dłużej! I to właśnie ty, który wiecznie jęczałeś, że nie chcesz tyle grać.

Mimo to w powietrzu czuć było lekki niepokój.

Rykoszet, piłka zmieniła kierunek. Pech. Pozytywne było to, że nie było dnia, w którym nie dopisywałby mi humor. Ani przez chwilę nie poczułem się jak trzydziestopięciolatek u schyłku kariery. Bywam lekkomyślny i nieco zwariowany, niektóre rzeczy lepiej przeżyć później niż wcześniej. W wieku dwudziestu pięciu lat nie ma się jeszcze wszystkich narzędzi pozwalających prawidłowo podejść do sytuacji kryzysowej i sobie z nią poradzić. Jest się żółtodziobem, który wszystkiego musi się nauczyć. Natomiast później człowiek już wie, jak to jest w życiu.

Nawet nie przeszło mi przez myśl, że nie wrócę do formy. Kalkulowałem tylko, że będę musiał grać jeszcze przez rok, bo obecny 2020 liczy się połowicznie. Na koniec sezonu wrócę świeży niczym pączek róży, a nie

rozjechany jak zwykle po trzydziestu czy czterdziestu morderczych meczach. Dylemat, czy kontynuować karierę piłkarską, rozstrzygnąłem od razu – naturalnie, że tak, i to w Juventusie, bo nie zostawia się spraw przed ich dokończeniem. Będą musieli jeszcze się ze mną pomęczyć. A potem, za parę lat, powiem – *basta*.

Nigdy wcześniej nie bałem się o więzadła krzyżowe, ponieważ zawsze utrzymywałem jędrność mięśni na poziomie rekompensującym inne niedoskonałości stawowe – miałem dwie kontuzje więzadeł pobocznych, podczas gdy inni zawodnicy w podobnej sytuacji pewnie zerwaliby krzyżowe. Byłem zdrow jak ryba, ale może tak miało być? Jestem fatalistą i w obliczu problemów myślę wyłącznie o rozwiązaniu. „Oto nowe wyzwanie” – powiedziałem sobie już tamtego wieczoru, leżąc z kolanem obłożonym lodem. Jestem racjonalistą, empirykiem, człowiek pracuje i dzień po dniu traci energię. Poza tym wypadki chodzą po ludziach, a sprawy zwykle wracają na właściwy tor.

Ubolewałem, że w pierwszych miesiącach po urazie nie mogłem być bliżej drużyny, ale po prostu nie dałbym rady. Podczas rehabilitacji wylewałem z siebie siódme poty, nie opuściłem ani dnia, ani jednej godziny. Taki już jestem. Spędziłem w Juventusie całe życie, trenując i grając mecze. Już dzień po kontuzji byłem na zgrupowaniu.

Miałem tylko dylemat, czy pokazywać się publicznie i usiąść na trybunach lub na ławce, czy może zostać w szatni. Jako samotnik nie lubię pokazywać twarzy. Podjąłem jednak decyzję: jestem kapitanem Juventus i muszę być z drużyną! Czułem się jak generał obserwujący

bitwę ze wzgórza. „Jestem przywódcą, nie mogę zamknąć się w pokoju i gapić w ekran”, powiedziałem sobie.

To jasne, że cierpiałem jak każdy, ale było w tym również coś pięknego. I ważnego, bez dwóch zdań. Dzwonili do mnie wszyscy, poczynając od kolegów z drużyny. Do stałem setki wiadomości. Niektórych się spodziewałem, innych mniej, a jeszcze innych wcale. Ucieszyła mnie bardzo ta od Javiera Zanettiego, nigdy wcześniej się nie odzywał, nie miał nawet mojego numeru. Mógł to załatwić, wysyłając telegram albo prosząc Orialiego, żeby do mnie zadzwonił, co zresztą też zrobił.

Zanetti. To było naprawdę miłe. I niespodziewane. Z Interem zawsze skakaliśmy sobie do gardel, to normalne. Choć w pewnych momentach rywalizacja zanika, a szacunek zostaje. Przewidziałem, że trener Conte odmieni drużynę Nerazzurich i nie mam wątpliwości, że nasze kluby będą walczyć do końca. Scenariusz jest znowu ten sam.

Kolejna niespodziewana wiadomość przysłał od Pepe Reiny, byłego bramkarza Napoli, który napisał mi przepiękne słowa. Inni gracze z Napoli dzwonili do mnie, na przykład Insigne i Koulibaly, ale z nimi miałem już wcześniej kontakty, z Reina nie. Bardzo szanuję Koulibaly'ego. Miałem okazję z nim porozmawiać, dowiedzieć się, jakim jest człowiekiem.

Największego wariata zostawiam na koniec. To Siniša Mihajlović. W tym wszystkim, przez co teraz przechodzi*, znalazł czas, żeby o mnie pomyśleć. Kilka razy

* W roku 2019 u Sinišy Mihajlovicia zdiagnozowano białaczkę.

wpadliśmy na siebie w Turynie. Siniša to twardziel, nieokrzesaniec. Wszyscy to wiedzą. Powiedziałem mu:

– Dzięki, wariacie.

Byłem bardzo zaskoczony.

Pisano do mnie z różnych klubów, nawet z zagranicy. Takich gestów nie da się przewidzieć, bo nikt nic nie musi. Słyszałem, że wielu ludzi mnie lubi i szanuje za to, kim jestem, niezależnie od tego, jakiej drużynie kibicują, czy gram dobrze czy źle albo czy noszę białą-czarną koszulkę.

Wracając do Koulibaly’ego, mam w pamięci nasz uścisk na murawie Allianz Stadium 31 sierpnia podczas meczu Juventus–Napoli, po jego samobójczej bramce. Jestem, jaki jestem, więc prawie pożałowałem swojego zachowania – może lepiej byłoby uściskać go w szatni i zachować to między nami? Ale to był spontan. Kuśtykałem o kulach po stadionie i szukałem Kalidou wzrokiem. Poprzedniego wieczoru napisał mi „powodzenia”. Zawsze miałem z nim świetne relacje. To wspaniały zawodnik i dobry człowiek, a tu taki kiks w 92 minucie kluczowego meczu!

Gdy patrzyłem na jego minę, ogarnęło mnie współczucie i poczułem, że muszę mu powiedzieć kilka słów pocieszenia, nic ponadto.

– Jesteś najlepszy, wszyscy popełniamy błędy. Pracuj dalej, tak jak umiesz, a wszystko, co złe, minie.

Moją dumą i nadzieją jest to, że mogę być piłkarzem wszystkich, nie tylko kibiców Juventus. Pracowałem nad tym, nic nie jest dziełem przypadku. Przez całe lata

moim sposobem na rozładowanie napięcia było szukanie przeciwników, a kto szuka, ten znajduje – to logiczne. Najtrudniejszą rzeczą jest kontrolowanie własnych emocji. Miałem wojowniczą naturę, to już jednak przeszłość. Już nie potrzebuję wrogów. Dziś dzięki mojemu zachowaniu ludzie bardziej mnie cenią.

Teraz dużo mniej fauluję, mniej prowokuję. Myślę, że kibice innych drużyn też to zauważyli. Zostałem kapitanem Juventusu i kadry narodowej, co dało mi pewien spokój ducha, zrodziło dumę, która uczyniła mnie lepszym i poprawiła mój wizerunek. Przynajmniej taką mam nadzieję. Oczywiście zawsze będę związany z Juventusem, ale chciałbym zostać zapamiętany po prostu jako dobry włoski piłkarz.

A pomyśleć, że jako dziecko byłem kibicem Milanu, jak moja mama, podczas gdy mój brat bliźniak Claudio razem z tatą kibicowali Juventusowi. Potrzebowaliśmy tych różnic, musieliśmy koniecznie grać przeciwko sobie, zwłaszcza ja i Claudio. Nieodłączna braterska rywalizacja. AC Milan z Holendrami przeciwko Juventusowi z Baggio – całkiem nieźle. W tamtych latach tytuły mistrzowskie trafiały albo do Turynu, albo do Mediolanu, a mówiąc „Mediolan”, bynajmniej nie mam na myśli Interu.

Ostatnio zauważyłem, że ludzie bardziej mnie szanują. I to mi się podoba. Nigdy nie zapomnę aplauzu na stadionie San Siro przy okazji mojego setnego występu w reprezentacji Włoch. Absolutnie nie mogłem się tego spodziewać. Ciepłe przyjęcie, jakie mi zgotowano, było bardzo wymowne. Rok po meczu Włochy–Szwecja dało

mi to ogromną satysfakcję, która trochę wymazała tamto złe wspomnienie. Na szczęście są chwile, gdy nasz sportowy rywal zwyczajnie staje się człowiekiem, sportowcem – i to jest właśnie siła sportu!

Przez kilka miesięcy, z kulami bądź bez nich, mój dzień wyglądał zupełnie inaczej niż zwykle. Budziłem się wcześniej, nawet wcześniej niż dawniej, bo jak człowiek nie gra, to się nie męczy. Szykowałem dziewczynki, zawoziłem Ninę do szkoły (a właściwie robił to kierowca, którego zapewnił nam Juventus), a potem jazda na stadion na rehabilitację. Przez pierwsze dni było ciężko. Nie mogłem nawet wstać, żeby zjeść czy się umyć. Kolano pulsowało i oczywiście nie zginało się ani o milimetr.

Codziennie między 8.30 a 9.00 stawiałem się w centrum sportowym Juventusu za rogiem, gdzie czekało mnie pięć godzin intensywnej pracy: fizjoterapia, masaż limfatyczny, mobilizacja kolana, ćwiczenie mięśni – z początku tak to wyglądało. Potem, rzecz jasna, tempo się zwiększyło. Basen, siłownia, szybki lunch na stadionie, a potem ciąg dalszy w domu, gdzie zgromadziłem różne ustrojstwa, na przykład maszynę do lodu. Ale przed pracą w domu odbierałem córkę ze szkoły. A potem znów ćwiczenia ruchowe, elektrostymulacja, lód – ot, gimnastyka połączona z codziennością.

Nigdy nie wyznaczałem sobie kamieni milowych kariery. Skupiałem się na ciężkiej pracy, a reszta przychodziła sama. Po osiągnięciu danego etapu kontynuowałem

walkę o kolejny stopień odzyskiwania sprawności. Takie sytuacje uczą cierpliwości, ćwiczą ją.

To zawsze kwestia siły woli i właściwego stanu ducha. Najważniejszy jest uśmiech, pozytywne nastawienie. Kiedy kolano puchło, odpoczywałem i czekałem. Dawałem mu czas. Za każdym razem, gdy zaczynałem ćwiczyć, widziałem postęp, jakie moje ciało czyniło w porównaniu z dniem poprzednim, i doceniałem te milimetrowe osiągnięcia. Milimetr po milimetrze i w końcu jesteśmy u celu! W dniu, kiedy znów byłem w stanie samodzielnie podnieść nogę, czułem się, jakbym zdobył Everest. Zasypałem lekarzy tyloma pytaniami, że z powodzeniem mógłbym obronić dyplom z medycyny... To było wielkie odkrycie. Wspaniale jest mieć zawsze tyle nowego do nauczenia się.

Giorgione jest uparty, moja mama może to potwierdzić. Zawsze byłem bardzo niezależny, nawet w tym doświadczeniu z kontuzją. Kolejne kroki na drodze do samodzielności wzmacniają charakter – jak już postanowiłem, że muszę samodzielnie włożyć skarpetkę, mogło mi to zająć pół dnia, ale w końcu dałem radę.

Przez kilka pierwszych dni maszyna do lodu była dla mnie niczym doping – przynosiła mi wielką, niezmierną ulgę. Na szczęście nie spędziłem ani jednej bezsennej nocy. Mam wysoki próg bólu, a także wytrzymałości. To ogromny dar, niezasłużony, z tym trzeba się urodzić.

Wszyscy traktowali mnie wspaniale. Fizjoterapeuci i lekarze poświęcili mi wiele godzin nadliczbowych, więc korzystając z okazji, chciałbym im teraz podziękować. Juventus jest wyjątkowy również dlatego, że ma organizację

wewnętrzną nieporównywalną z żadnym innym klubem. Czulem się zaopiekowany, spokojny i szczęśliwy. Rekonwalescencja dała mi nową energię i odczucia, jakie u trzydziestopięciolatka zdawały się już dawno uśpione – a jak się okazało, nie było to prawdą.

Przy tak poważnej kontuzji trzeba postawić przed sobą cel. Nie znałem kalendarza ligowego na pamięć, więc do niego zajrzałem. Przy takim urazie trzeba się liczyć z mniej więcej półrocznym pauzowaniem, a zgadnijcie, jaki mecz miał się odbyć pół roku po moim wypadku? Operowano mnie 3 września, a 1 marca Juventus miał grać z Interem Mediolan! Ta data przysłużyła się mojej psychice, była dla mnie czymś w rodzaju dopingu. Nawet powiedziałem to Contemu ze śmiechem:

– Jestem twoim fatum!

Ostatecznie koronawirus zmienił kalendarz rozgrywek, ale zmagania Juventusu z Interem to stadionowy pewniak.



Syndrom pasażera

Nigdy nie pomyślałem: „Mam trzydzieści pięć lat, będzie ciężko” ani też: „Będzie ciężko, bo na moim miejscu gra dwudziestolatek”. Poza tym ja i de Ligt i tak byśmy się zmieniali. To zdolny chłopak, inteligentny. Sam musiał o siebie zadbać. Musiał grać jako stoper, jak to się kiedyś mówiło, obok Leo, który występował w roli libero. Chłopak obok mnie gra na prawej flance, niby szczegół, robi jednak różnicę. Od razu wiedziałem, że jest niezły. Wystarczyło kilka treningów. Jest inny, wyjątkowy.

Byłem ważny i będę ważny, jeśli chodzi o moje dokonania na boisku. Ponadto w tym roku są mistrzostwa Europy. Nigdy się nie bałem. Nigdy też nie zrobiłem nic pochopnego ani pospiesznego, nikt nie zna mnie lepiej niż ja sam. To poszukiwanie nowej, lepszej równowagi, to droga.

Przez całą zimę żartowaliśmy sobie z Ronaldo:

– Strzelam średnio jeden gol na mecz, nawet ty mnie doganiasz!

Ponieważ przed uszkodzeniem kolana zagrałem jeden jedyny mecz, ten otwierający mistrzostwa w Parmie, i strzeliłem gola... upiekło mu się – w trzydziestu ośmiu meczach trafiłbym trzydzieści osiem razy, pobijając nawet rekord Higuaína!

Takie z nas żartownisie. Gonzalo to twardziel. Wielki mistrz, wymagający, ale dobry piłkarz. Musi nieustannie czuć, że inni w niego wierzą. Uwielbiam go, Kocham tę jego latynoską ekspansywność. Jest świetnym kolegą, a ponadto bardzo wrażliwym chłopakiem, dlatego mocno „odczuł” kilka ważnych meczów, może za mocno. Ale każdy z nas jest, jaki jest. Możemy pracować tylko na tworzywie ukształtowanym przez naszych rodziców. A to oznacza, że możemy zrobić dużo, lecz nie wszystko, i że wychowanie odcisnęło na nas trwałe ślad.

Gdy do naszych drzwi puka przeznaczenie, musimy się zmierzyć z naszym stanem psychicznym i z naszym stosunkiem do strachu. Strach to podstępny przeciwnik, kreuje halucynacje, pokazuje nam to, czego nie ma, ale czego się obawiamy – trzeba być ostrożnym i nie zostawiać mu pola do popisu. Nigdy nie bandażuję sobie głowy na zaś – z wyjątkiem chwil, kiedy gram w „turbanie”!

Zajmuję się problemami wtedy, kiedy się pojawiają. Nie ma sensu robić tego wcześniej, gdy człowiek jest jak wojownik bez broni. Nie czuję lęku, nie jestem hipochondrykiem. Nie rozczulam się nad sobą i myślę, że tak już zostanie. Nawet kiedy się zestarzeję, postaram się nie stracić równowagi emocjonalnej. Lęk wykańcza, na szczęście go nie odczuwam, najwyżej w niektórych sytuacjach bywam nieco cyniczny.

Moja żona twierdzi, że wszystko po mnie spływa, ale to tylko wrażenie – wiem, że jestem bardziej przydatny, gdy nie dopuszczam do siebie strachu wysysającego energię. Trzeba myśleć pozytywnie. Uważam, że moje podejście do życia nie zmieni się nawet wtedy, gdy pojawią się poważniejsze problemy. Najpierw przetrwam wszystko w sobie, a potem, gdy nadejdzie czas, reaguję. Już jako młody chłopak zawsze wkraczałem do akcji w odpowiednim czasie.

Ciężko pracowałem i przetrwałem czas, kiedy czułem się ciężarem dla wszystkich – dla żony, dla mamy, dla ciotki... Potem wszystko się zmieniło, zupełnie jak wtedy, gdy znów wychodzi słońce i człowiek cieszy się każdym promykiem, najmniejszym postępem, codziennymi krokami, które nigdy nie są czymś stuprocentowo pewnym.

Samodzielne włożenie skarpetki na prawą stopę zajęło mi całe tygodnie, kolano nie chciało się zginać. W pewnym momencie udało mi się włożyć buty, ale skarpetka najzwyczajniej w świecie stawiała opór. Uparłem się, *naturalmente*, i w końcu dałem radę. Moje drugie motto brzmi: „Nie wiem, czy umiem, ale będę umiał”. Duma pozwala mi opanować tę nieznosną irytację, która ogarnia mnie w trudnych momentach – oni nie mogą wygrać, za nic w świecie!

Forma wraca stopniowo. Najpierw mocniej rozciągasz gumę, wreszcie podnosisz ciężarki, wsiadasz na rower treningowy. Potem czas na pierwszy dzień w siłowni, pierwszy bieg, pierwszy trening z kolegami z drużyny, pierwsze prawdziwe kopnięcie piłki, mocne i celne. Moje osiągnięcia, mój życiodajny nektar.

Nie ma sensu bać się tego, czego nie ma, nawet jeśli to coś kiedyś może nadejść. Spokojnie, poczekamy, zobaczymy. To mózg ma nas prowadzić, nawet gdy pojawiają się poważniejsze sytuacje – ten słynny byk, którego trzeba wziąć za rogi. Nie robię uników i chwytam go za te rogi.

Tak samo jest w pracy, na boisku czy w szatni. Przychodzi czas, kiedy trzeba zmierzyć się z problemami. Z czasem nauczyłem się być mniej humorzasty i nie denerwować się bez potrzeby. Teraz obserwuję, słucham, czekam, aż sytuacja się uleży, coś tam powiem, a jeśli muszę interweniować, robię to stanowczo. Nie jestem z tych, którzy od razu się wściekają, nie wybucham, nie krzyczę. To nie leży w mojej naturze. Potrafię być energiczny, nie tracąc kontroli, wiadomo jednak, też mieszkam swoje złe dni. Jednak gdy pojawi się problem, nie dążę do kłótni, nastawiam się na szukanie rozwiązania i włączam pozytywnie myślenie. To również posunięcie strategiczne. Zależy, z jakimi ludźmi mam do czynienia.

A jednak istnieje zdrowy strach, który sprawia, że mierzysz się z tym, z czym musisz się zmierzyć, bez szukania alibi i chodzenia naokoło problemu. Taki zdrowy strach, który pcha cię w samo oko cyklonu, ale nad którym umiesz panować – ty nad nim, a nie na odwrót. W ten sposób zdrowy strach staje się siłą. Poznałem pewnego trenera siatkówki kobiet, obecnie pracującego w Turcji, który ze swoimi dziewczynami postanowił wykorzystać koncepcję „zdrowego strachu” w pozytywny sposób. Taki strach stymuluje i poprawia wydajność, nie tylko równowagę emocjonalną.

W polu karnym czuwają obrońca i bramkarz, a zdrowy strach przed utratą bramki stymuluje ich czujność i dodaje im energii. Tak działa Buffon. Pozbawiony nowych wyzwań jest niezadowolony, jego psychika to karuzela w ciągłym ruchu. Przez lata pozwalala mu osiągnąć dowolny cel i prowadziła przez trudne do pokonania ciemności, ale Gigi dał radę. Bardzo go lubię. W środowisku piłkarskim jest osobą, z którą jestem związany najbliżej.

Moje i tak już krótkie noce skróciły się przez te kilka miesięcy przez brak adrenaliny. Nie spałem źle, ale spałem mniej, bo szybciej się regenerowałem i byłem mniej zmęczony. Uwielbiam wcześniej wstawać, czekać w salonie na wschód słońca, układać rzeczy, wypatrywać świtu, słyszeć, jak budzą się Carolina z dziewczynkami. Czasem sam delikatnie je budzę. To mnie relaksuje.

Przez te kilka miesięcy kontuzji i rekonwalescencji jak zawsze przeżywałem mecze Juventusu. Z zewnątrz dostrzega się więcej błędów i człowiek czuje się źle, nie mogąc interweniować i nic z tym zrobić. Dużo rozmawiałem z kolegami z drużyny, dzieliliśmy radości i problemy, choć obawiałem się, że cierpię na syndrom pasażera. Co to takiego, można zrozumieć, jadąc we dwójkę na tym samym skuterze – kierowca czuje się pewnie, zaś ten z tyłu na każdym zakręcie boi się przewrotki. Cóż, powiedzmy, że w miesiącach po kontuzji to ja siedziałem na tylnym siedzeniu i usiłowałem zrozumieć, co czują inni, co widzą podczas podróży. Trzymałem się

mocno, a na zakrętach czułem się niepewnie. Podróż jednak trwała dalej.

To zawsze kwestia emocji, wrażliwości. Patrząc z zewnątrz, widzisz wyraźniej, choć jednocześnie jesteś czegoś pozbawiony, bo jesteś na zewnątrz. Staralem się utrzymać równowagę i nieustannie się doskonalić, bo rozwój i zwycięstwo to jedyne cele. Wiecie, w Juventusie zwycięstwo to nie jest rzecz ważna, lecz jedyna, jaka się liczy.

Nasza grupa jest wyjątkowa, czas nas scementował. Cieszę się, że wrócił do nas Andrea Barzagli*. Zanośli się na to od jakiegoś czasu, ale moment, w którym się pojawił, był piękny. Dla mnie jego obecność naprawdę jest ważna. Ja, Andrea i Gigi jesteśmy niczym przewodnicy, a w trudnych chwilach to ci najbardziej doświadczeni ciągną za sobą całą grupę. Jesteśmy niemal jak bracia.

À propos braci, w dniu wypadku o 18.05 dostałem wiadomość od mojego bliźniaka Claudio: „Jak tam trening? *Tutto bene?*”. Oczywiście odczytałem ją później. Między bliźniakami istnieje jakieś porozumienie, nieuchwytnie, ale prawdziwe połączenie, to nie bujdy. Wiem, że on coś czuł, coś mu mówiło, że mam problem. Nie twierdzę, że doświadczamy tych samych fizycznych dolegliwości, to byłoby banalne. To nie ma nic wspólnego z magią, to coś subtelniejszego, głębszego. Claudio nigdy nie pyta, jak poszedł mi trening, a jeśli o coś pyta,

* 14 maja 2019 roku Barzagli ponownie opuścił Juventus, podając jako powód sprawy rodzinne.

to raczej o to, kto gra następnego dnia, ale tym razem... Wiadomość w moim telefonie jest faktem, możecie w to wierzyć lub nie.

Nigdy nie zapomnę, jak po raz pierwszy, kilka tygodni po operacji, wszedłem do basenu rehabilitacyjnego. Mogłem znów chodzić i czułem się jak Neil Armstrong na Księżycu! Mimo że ani razu nie wziąłem środka przeciwbólowego i nie opuściłem ani dnia rehabilitacji, nie czułem się bynajmniej jak nowo narodzony – kolano nadal się nie zginało, nogę miałem mocno przykurczoną, przeszkadzały mi kule. Ale kiedy, prawie pośliznąwszy się, zanurzyłem się w wodzie, wszystko minęło. Znów stałem o własnych siłach, zaczynałem odzyskiwać swoje ciało, ciało Giorgione. Chciałem zostać w wodzie już na zawsze i nigdy z niej nie wychodzić, nigdy nie wracać z tego Księżycza.

Mój pierwszy trening po przerwie odbył się 22 listopada i nigdy tego dnia nie zapomnę.

Ja w czarnym dresie i ten ocean zieleni naokoło. Padało, ale kto by się przejmował? Otaczało mnie światło, euforia zwycięstwa.

Krok odstawno-dostawny, marsz do przodu z unoszeniem kolan, jak kiedyś w szkole na lekcji WF-u. Zapach, jaki miały nasze sale gimnastyczne, odgłos tramppek ślizgających się po linoleum. Swąd gumy i dudnienie piłki o parkiet lub odbijającej się od okien. Daskoki, żeby

dotknąć kosza. Giorgio był najwyższy, nie miał z tym problemu. Biegać za piłką, jakąkolwiek, wszędzie, gdzie się da. Małą, dużą, szmacianą, gumową, skórzaną. Ścisnąć ją w rękach, poczuć, jak odbija się od stopy. Zapamiętać nad nią. Pokazać jej, kto tu rządzi. Bardzo fajnie wspominam te WF-y.

Myślałem o wielu rzeczach, kiedy tamtego listopadowego ranka trenowałem sam na boisku. Bo zawsze jesteśmy sami. Kto nie zaakceptuje tego wymiaru życia, tej rzeczywistości, nigdy nie dojrzeje i nie stanie się kimś. Jest się samemu i jest się z innymi – te dwie rzeczy, ostatecznie, są jednym i tym samym.

Zaczynam biegać, jak Pan Bóg przykazał, biegnę z pola karnego do okręgu wyznaczającego środek boiska, biegnę wprost ku czemuś, czego nie widzę, ale wiem, że tam jest. Czasem łapie mnie skurcz. Biegam tam i z powrotem pod okiem trenera. Czuję, że odżytkuję siebie, że Giorgio znów staje się Giorgiem. Czuję się żywy, czuję się sobą.

AUTOBIOGRAFIA JEDNEGO Z NAJLEPSZYCH OBROŃCÓW NA ŚWIECIE

Ta książka to coś więcej niż tylko autobiografia. Giorgio opowiada o Chiellinim, Chiellini odkrywa Giorgio. A dzieje się to w bardzo trudnym momencie życia piłkarza – w wieku 35 lat, na początku najważniejszego sezonu w karierze zrywa więzadła krzyżowe. Dla wielu zawodników oznaczałoby to jedno: koniec kariery. Nie dla Giorgio!

W szczerzej opowieści o sobie poznamy Chielliniego nie tylko jako niezłomnego kapitana reprezentacji Włoch i Juventusu Turyn, krytycznie patrzącego na swoją drużynę i kolegów z boiska, ale przede wszystkim jako człowieka. Bo piłkarz chętnie dzieli się z czytelnikami zarówno błyskotliwymi refleksjami na temat sztuki obrony, jak i życia prywatnego. Stąd wiemy, jakim jest mężem, ojcem, synem i bratem.

Wybitny włoski piłkarz, zapamiętany przez wszystkich jako ten, którego Suárez ugryzł w ramię podczas mistrzostw świata w Brazylii, otwarcie mówi, że dla niego słabości są ważną częścią natury ludzkiej i należy nad nimi pracować. Chętnie opowiada również o tym, co go w życiu napędza, o sile i radości płynących z realizacji jego wielkich pasji – futbolu i matematyki, dzięki którym może chodzić własnymi ścieżkami.

E-book dostępny na woblink.com

ISBN 978-83-8135-081-5



Cena detalu 49,99 zł


WYDAWNICTWO
OTWARTE